ROK 59 WE LWOWIE, 1 CZERWIEC 1937 R. Nr. 6

ŁOWIEC

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

XXXVI ZJAZD ŁOWIECKI M. T. Ł.

odbędzie się dnia 20 czerwca 1937.

MSZA ŚWIĘTA przed ołtarzem św. Huberta w kościele św. Elżbiety odprawioną zostanie o godzinie 8.30 rano.

WALNE ZGROMADZENIE CZŁONKÓW MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO odbędzie się o godzinie 10.30 rano, w sali Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, ul. Kopernika 4

Porządek dzienny:

1. Zagajenie;
2. Odczytanie protokołu z dorocznego Walnego Zgromadzenia z 31. maja 1936;
3. Sprawozdanie z czynności Wydziału;
4. Sprawozdanie finansowe wraz ze sprawozdaniem Komisji Rewizyjnej;
5. Preliminarz na rok 1937;
6. Wybory uzupełniające;
7. Wnioski i interpelacje.

Zwraca się uwagę, że to Walne Zgromadzenie odbędzie się na podstawie dotychczasowego statutu i że przyjęcie nowego statutu, nie będzie przedmiotem uchwały; istnieją bowiem wielkie trudności z dostosowaniem statutu M. T. Ł. do statutu Polskiego Związku Łowieckiego.

Dla uchwalenia zmiany statutu, odbędzie się w tym jeszcze roku Walne Zgromadzenie w terminie jesiennym.

Niemniej Wydział zwraca się do wszystkich Członków Towarzystwa, a szczególnie do mianowanych Łowczych i Podłowczych, tudzież do wybranych już na Walnych Zgromadzeniach Powiatowych Rad Łowieckich Delegatów, aby w tym Zgromadzeniu udział wzięli.

Liczny udział powinien być wyrazem żywotności Towarzystwa, a nadto wymiana zdań, może dać Komisji statutowej cenne wskazówki w niejednej nasuwającej się kwestji.

SPRAWOZDANIE

z czynności Wydziału M. T. Ł. za rok 1936—7.

Rok ubiegły sześćdziesiąty pierwszy naszego istnienia, zapisał się na kartach dziejów Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego licznym bardzo i uroczystym XXXV Jubileuszowym Zjazdem, na którym w imię solidarności ogólno polskiej idei łowieckiej uchwalono dalszą pracę M. T. Ł. w ramach polskiego Związku Łowieckiego z nieodzownym warunkiem utrzymania czasopisma „Łowiec", jako organu Towarzystwa.

W dziejach naszych zapisała się też chlubnie impreza urządzenia Jubileuszowej Wystawy trofeów łowieckich, pochodzących z ostatniego 10-lecia, w dniach od 5. do 30. września w pawilonie Targów Wschodnich.

Wystawa ta zgromadziła 1.204 eksponatów myśliwskich, prócz innych z łowiectwem w związku stojących, jak dzieł sztuki, broni itp. Dała obraz obecnego stanu zwierzyny w Małopolsce, oraz stwierdziła wzmagający się wciąż rozwój małopolskiego łowiectwa. Wystawę naszą zwiedzili nietylko myśliwi polscy, ale też licznie bardzo wybitni zagraniczni, którzy nie szczędzili nam objawów podziwu i zachwytu bogactwem łowiectwa polskiego.

W okresie sprawozdawczym zaznaczył się też wzrost zainteresowania się sprawami łowieckimi ogółu naszego społeczeństwa, co wyraża się w pokaźnej cyfrze 198 nowo przyjętych członków.

Niestety, jak co roku, ubyła nam przez śmierć garść Towarzyszy. Są nimi:

1) Alfred Kutschera
2) ks. Kazimierz Czartoryski
3) Tomisław Jędrzejowicz
4) Wilhelm Jan Wychera
5) Józef Wagner
6) Dr. Walerian Madejeski
7) Feliks Orzelski.
8) Stanisław Kisielewski
9) Tadeusz Horoszkiewicz

Cześć Ich pamięci!

W grudniu r. z. Władze państwowe zatwierdziły statut polskiego Związku Łowieckiego, którego § 71. daje nam pełną autonomię z utrzymaniem dotychczasowej nazwy. Małopolskie Towarzystwo Łowieckie istnieje więc nadal, jako takie i jako oddział Związku. Na mocy upoważnienia Wydziału Wykonawczego Związku przystąpiliśmy wraz naszym Oddziałem w Krakowie do zorganizowania myślistwa w czterech województwach małopolskich. W myśl postanowienia statutu Związku ,myśliwi mieszkający w Małopolsce stają się przez przystąpienie do M. T. Ł. członkami Związku i w inny sposób stać się nimi nie mogą. Organizacja ta jest już w pełnym toku, przeprowadziliśmy ją już całkowicie w chwili podania do druku niniejszego sprawozdania w kilkunastu powiatach.

Praca ta obciążyła silnie nasze biuro i wzmogła nasze agendy tak dalece, że gdy w roku zeszłym od 1. czerwca licząc, a więc w przeciągu 7-miu miesięcy załatwiliśmy 362 spraw, to tegoroczny nasz protokół wykazuje już przy końcu maja, w niespełna więc 5 miesięcy spraw załatwionych 513.

Albert Mniszek
Wiceprezes

Juliusz Bielski
Prezes

BILANS

Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we Lwowie na dzień 31 grudnia 1936 r.

STAN CZYNNY / STAN BIERNY

Rachunek	Zł.	gr.	Rachunek	Zł.	gr.
Kasa	817	68	Fundusz rezerwowy (wraz z zyskiem z 1935 r. przel. do Funduszu)	4.110	40
P. K. O. stan książeczki	187	25	Wierzyciele wg. inwentarza	1.933	86
G. K. O. „ „	12	75			
Ruchomości	1.450	—			
Biblioteka	1.617	90			
Książki własne	173	26			
„ obce	439	20			
Strata	1.346	22			
	6 044	26		6 044	26

Lwów, dnia 31-go grudnia 1936 r.

Juliusz Bielski
Preses

Dr. Franciszek Piechowski
Skarbnik

RACHUNEK STRAT I ZYSKÓW

Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we Lwowie, na dzień 31 grudnia 1936 r.

STRATA / ZYSK

	Zł.	gr.		Zł.	gr.
administracji	5.499	64	wkładek członkowskich	9 904	80
druku „Łowca“	4 816	68	wystawy	11	34
innych (zaległości z lat ubiegłych nieuwzględnione w poprzednich bilansach, a wyrównane w 1936 r)	1.349	44	medali	403	40
			strata	1.348	22
	11.665	76		11.665	76

Lwów, dnia 31-go grudnia 1936 r.

Juliusz Bielski
Prezes

Dr. Franciszek Piechowski
Skarbnik

PRELIMINARZ NA ROK 1937

Lp.	Przypuszczalne dochody	Zł.	gr.
1	Zapas gotówki z r. 1936	817	68
2	Wpływy z wkładek członk.	10.000	—
3	z ogłoszeń	500	—
4	z prenumeraty „Łowca“	6.000	—
5	ze sprzedaży książek wł.	20	—
6	„ „ „ ob.	10	—
7	z odznak i dyplomów	300	—
		17.647	68

Lp.	Przypuszczalne rozchody	Zł.	gr.
1	Wydawnictwo „Łowca“ wraz z honorarium Red. i aut.	5.000	—
2	Pobory personalu	2.020	—
3	Czynsz z podatkiem	760	—
4	Światło, opał	350	—
5	Telefon	300	—
6	Przybory kanc. i druki	350	—
7	Koszty podróży deleg.	400	—
8	Ubezpieczalnia Społ.	400	—
9	Nagrody strzel.	100	—
10	Porta	600	—
11	Uzupełnienie bibliot.	100	—
12	Prenumerata pism obcych	80	—
13	Prow. kursora	80	—
14	Wkładki zaleg. do P. Z. Stow. Łow.	832	24
15	Składka bieżąca do P. Z. Ł.	5.000	—
16	Portoria i druki w związku z now. organiz.	1.200	—
17	Nieprzewidziane różne	75	44
		17.647	68

Inż. WALERY MARYAŃSKI, Gen. W. P.

Problem broni kulowej w Polsce.

Sprężysta organizacja łowiectwa w Polsce, zapoczątkowana tak pięknie przez P. Zw. Ł., a która w coraz bardziej energiczne przepisy ujmuje łowiectwo nasze — ureguluje niezawodnie w najbliższej przyszłości sposób jego wykonywania pod wielu względami.

Znikły już ustawowo wzbronione trutki na lisy, zabronione są zasiadki po nocach, używanie reflektorów, nastawianie wnyków i różnych gatunków paści, żelaz itp., co każdy, zasługujący na szczytne miano myśliwego i każdy miłośnik przyrody i zwierzyny, tylko z radością i uznaniem powita.

Zostaje jeszcze jedna bolączka, a jest nią strzelanie do grubej i szlachetnej zwierzyny śrutem lub „loftkami“.

Na cywilizowanym Zachodzie żaden przyzwoity myśliwy nie strzela do żadnego szlachetnego zwierza, począwszy od kozła, niczem innem tylko kulą, a i u nas w Polsce zwyczaj ten przyjął się we Wielkopolsce, Pomorzu, Śląsku, Małopolsce — i częściowo w zach. części b. zaboru rosyjskiego.

Również w statutach każdego istotnie myśliwskiego zrzeszenia istnieje przepis, że „zwierzynę, chodzącą na racicach, mającą kły i pazury, strzela się wyłącznie kulą“.

Wprawdzie każdy szanujący się myśliwy, bez tych przepisów stosuje się do tej zasady — ale niestety jest jeszcze wiele osobników, mających wprawdzie kartę na broń i kartę łowiecką, ale paskudzących śrutem lub loftkami na każdą odległość do każdego kozła lub dzika, gdy te im wejdą pod lufę.

Polega to przedewszystkim na wstrętnej zachłanności strzału. „Kto wie, czy się jeszcze okazja trafi?! Anuż! Może się uda?“! Oto mentalność takiego strzelacza!

Dlaczego nie powinno się do tego zwierza strzelać czem innem, jak tylko i to wyłącznie kulą, nawet dobijając postrzałku?

Oto przede wszystkim stwierdzić należy, że wobec postępów w technice broni, zwierzyna szlachetna ma coraz mniej szans do uratowania się, a ponieważ jej i tak nie jest zbyt wiele, bo cywilizacja przez rozwój rolnictwa i leśnictwa coraz bardziej utrudnia jej egzystencję — więc trzeba unikać wszystkiego, coby mogło spowodować zranienie zwierza bez widoków dostania go. Mylnie i bardzo ujemnie o etyce łowieckiej danego myśliwego jest tylekroć słyszane „powiedzonko“: „Coś tam Panie Dzieju oberwał! Ale się niezawodnie wyliże! To twarda szelma! Nie uwierzy nikt, jak u zwierzyny szybko rany się goją“!

Taki strzelacz wyleczyłby się gruntownie ze swej zachłanności strzeleckiej, gdyby dostał dobrze śrutem po nogach lub trochę wyżej i sam miał sposobność badania, jak szybko się to goi, a przedewszystkim z jakim bólem i mękami jest to połączone.

Miałem sposobność rozmawiać na ten temat z ludźmi, którzy na wojnie ranni byli kulami karabinowymi, — a także w czasie pokoju na polowaniach, dzięki nieostrożności sąsiadów „oberwali“ śrutem. Twierdzą oni, że co się bolu tyczy, to nie ma żadnego porównania między kulą a śrutem. Przy pierwszej odczuwa się uderzenie, ubezwładniające wprawdzie i pewien wstrząs nerwów — ale ból dotkliwy zaczyna się odczuwać dopiero w kilka godzin później — podczas gdy rany, zadane śrutem, sprawiają odrazu ból wprost piekielny.

Dalej trzeba wziąć pod uwagę wielkość tarczy, jaką dzik lub kozioł przedstawia; wsadzić w nią kilka śrutów nawet najgorszy strzelec potrafi — jest więc ogromne prawdopodobieństwo zranienia zwierza.

Modny nabój bezdymny daje śrutom większą chyżość i dlatego wchodzą one głęboko w ciało i to t. zw. „wylizanie się“ — o czem się z taką okrutną, godną łobuza lekkomyślnością papla — nie jest takie łatwe.

Ile zwierza w ten sposób zranionego ginie marnie w gąszczach, niedostępnych jarach itp. — to chyba wie św. Hubert!

Trzeba jeszcze jedną rzecz wziąć pod uwagę: na zwierza większego np. na dziki — poluje się zwykle w zimie. Gdy jest mróz, kropelki „farby“ zamarzają na szczecinie — i wskutek tego na tropie nie ma jej po strzale. Ale zwierz swój śmiercionośny często ołów już ma w sobie i rozpoczyna się męczarnia, trwająca nie raz całe tygodnie — tylko dlatego, że takie podłe stworzenie z rodu „homo sapiens“ nie umiało pohamować swej krwiożerczej, okrutnej chęci mordowania i nie odłożyło palca od cyngla! W dodatku taki „strzelacz“ nie ma z reguły psa — farbowca.

Inaczej ma się sprawa, gdy strzelamy kulą.

Przedewszystkiem widoki zabicia zwierza na miejscu kulą są daleko większe, bo co kula, to nie śrut.

W razie zranienia zwierza są widoki dojścia i dobicia postrzałka daleko większe, bo zwykle — nawet przy dużym mrozie lub przy innych trudnych warunkach tropienia — jest obfita „farba“, która znalezienie i dostrzelenie ułatwia.

W wypadkach, gdy kula nie jest śmiertelna, zwierz idzie dalej i gdy ujdzie myśliwemu — ma tylko jedną, a nie kilka ran do wygojenia, — co naturalnie zmniejsza prawdopodobieństwo zakażenia; nie zapominajmy przecież, że każdy śrut, który dostał się pod skórę — to ognisko zakaźne! Im ich więcej, tem bardziej zwierz cierpi i tem trudniejszy jest proces wygojenia.

Również lekkomyślnem paplaniem jest twierdzenie, że „śruty siedzą pod skórą“. Widziałem

sam dzika-dwulatka, do którego gajowy strzelił na połeć na 40 kroków śrutem 3 3/4 mm — dzik poszedł dalej i dopiero mój mannlicher położył go. Przy obielaniu pokazało się, że śruty przeszły przez cały korpus zwierza, przebijając oba płuca i siedziały pod skórą, ale z drugiej strony!

Jeszcze większem świństwem, godnem tylko kłusownika — jest strzelanie osławionymi „loftkami“, bo te kaleczą zwierza bardzo dotkliwie, łamiąc i grube kości, a z powodu swego rozrzutu, prawie nigdy nie kładą go w ogniu.

Ale obecnie wychodzi ten wstrętny pocisk nareszcie z użycia dzięki ogólnie, nawet w najtańszych strzelbach stosowanym ostrym „czokom“ z jednej, a użyciu bezdymnego prochu z drugiej strony. Mianowicie to nagłe zwężenie wylotu lufy powoduje, że przy grubych śrutach, a tem bardziej „loftkach“ i przy ogólnie używanym „hartowanym ołowiu“ (Hartschrot) — następuje w lufie zator i ciśnienie gazów, które przy normalnym strzale wynosi około 500 atm., skacze na 1.300 albo i wyżej — rezultatem czego jest albo pęknięcie lufy, albo przynajmniej t. zw. „groszek“.

Są to dla oka laika mało widoczne, liczne, drobne wykruszenia lufy, które powodują, że strzelba, która dawniej doskonale „kryła“, zaczyna nagle rozrzucać i w ogóle b. nieregularnie strzelać.

Laik twierdzi, że mu się „lufy wystrzelały“ — podczas gdy w istocie zniszczył je jeden strzał „loftkami“ lub grubym śrutem (np. 00, lub grubszy).

* * *

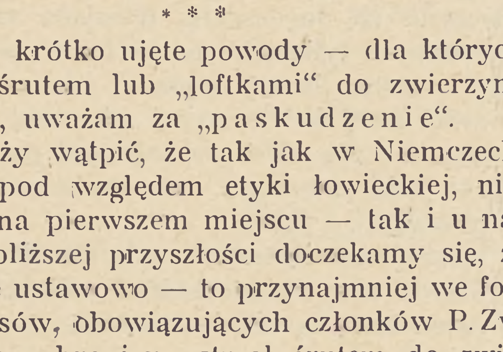
To są — krótko ujęte powody — dla których strzelanie śrutem lub „loftkami“ do zwierzyny szlachetnej, uważam za „paskudzenie“.

Nie należy wątpić, że tak jak w Niemczech, stojących pod względem etyki łowieckiej, niewątpliwie na pierwszem miejscu — tak i u nas już w najbliższej przyszłości doczekamy się, że — o ile nie ustawowo — to przynajmniej we formie przepisów, obowiązujących członków P. Zw. Ł. zostanie zabroniony strzał śrutem do zwierzyny szlachetnej.

Zapatrywanie to podziela ogół porządnych myśliwych, a strzał śrutem do rogacza lub dzika jest coraz bardziej uważany za coś, co nie jest „fair“ — i wskutek tego wyłania się coraz jaskrawiej kwestja odpowiedniej broni kulowej.

Rozważania nad tym problemem, stanowią treść niniejszego artykułu.

(Dokończenie nastąpi)



Dr. MICHAŁ MOYSA ROSOCHACKI

Moje głuszcze styryjskie

Wrażenia z toków w roku 1937-ym.

Uczyniwszy skrupulatnie zadość przepisom paszportowym, wizowym i dewizowym, wyjechałem 22. kwietnia 1937 roku do Austrii i Styrii.

Z prawdziwą przyjemnością przekonuję się, że koleje zagraniczne — przynajmniej czeskie i austryjackie — gorzej funkcjonują od polskich, co też dosadnie wobec niemieckich pasażerów podkreślam.

Wiedeń, — ongiś potężna stolica potężnego państwa, zamieszkały i dziś przez dwu-milionową ludność, zachował nadal swoją zachodnią kulturę. Czystość, porządek i wyszukana uprzejmość cechuje to miasto. Natomiast — tak skrupulatnie dawniej pielęgnowany humor beztroski, osłabł i mam wrażenie że powoli zanika.

Polityka ekonomiczna rządu stanowczo sprzyja rolnictwu, a przy tem i bilans handlowy aktywny i konsument, ani emeryt austryjacki się nie skarżą. Gospodarz małorolny obciążony podatkami równo z innymi.

Czy taki stan gospodarczy nie jest do pozazdroszczenia?

Ale wracajmy do motywów myśliwskich! We wspaniałym klubie myśliwskim kwitnie życie towarzysko-bridgeowe. Wykładów o charakterze łowieckim w tym miesiącu nie będzie. A szkoda! słuchałem ich swego czasu kilka, były zawsze bardzo ciekawe.

Mój stary znajomy, fabrykant broni, Gustaw Springer, którego odwiedzam, opowiada z entuzjazmem, że wczoraj powrócił z podróży do Suhl, gdzie zwiedzał tak zwaną B. S. W. — Berlin-Suhler-Waffenfabrik. Jest to wielkie Towarzystwo akcyjne, które prawie zmonopolizowało fabrykację broni myśliwskiej w Niemczech. Fabryka ta nowocześnie urządzona i uspołeczniona, daje pracę 5 tysiącom robotników. Suhl bezrobocia nie zna. Oglądam przywiezione fotografje. 10 rzeczywiście ogromnych budynków, wspaniałe sale maszynowe, jest też sala zabaw, a wreszcie olbrzymia, choć skromnie (ławki!) urządzona jadalnia. Tu jadają wspólnie robotnicy z urzędnikami i z 2-ma dyrektorami na czele.

Springer opowiada mi także trochę o sobie. Zajmuje obecnie około 50 robotników, wszyscy starsi, ludzie, którzy pracują u niego dziesiątki lat. „Odemnie nikt nie odchodzi, ja nikogo nie wydalam, nikogo nie redukuję i to jest tajemnicą mego powodzenia“.

Naszą długą pogadankę przeplatywał okazywaniem nowej broni kulowej, jak sztucerów podwójnych własnego wyrobu, Schönauerów 9'3 mm z długą lufą na płaszcze H ostrzelanych, Schönauerów 6'5 mm specjalnie lekkich itd. Te ostatnie ważą wraz z 4-krotną lunetą Zeiss'a o pól kilograma mniej, od normalnych.

Springer mówi, że Schönauery 9'5 mm zostały całkowicie wycofane, a posiadany zapas musiał wysprzedać za wszelką cenę.

Podczas naszej rozmowy wchodzi do sklepu elegancki, starszy wiedeńczyk, również dzierżawca rewiru styryjskiego i opowiada, że na głuszce pojedzie dopiero w połowie maja, gdyż u niego, — aczkolwiek na wysokości zaledwie 600 metrów — jest dużo głębokiego śniegu i głuszce absolutnie miejsc nie dotrzymują.

Niestety, musiałem to samo stwierdzić, w kilka dni później we własnym rewirze głuszcowym, na wysokości prawie 900 m. n. p. m.

Rzeczywiście nie tylko w Polsce, ale i w krajach alpejskich wiosna 1937 roku, odznaczała się zimnem i huraganowymi wichrami. W krajach alpejskich pogorszyły sytuację: nadmiernie wielka ilość opadów, a w górach potężne ilości śniegu. Przez cały miesiąc ciągle deszcz, śnieg, zimno, wichry. Jedyny ładny dzień, to 10. IV. 1937 r.! Nawet osuwania się ziemi i lawiny, specjalnie w tej okolicy dość rzadkie zjawiska, zdarzają się tu w tym roku.

Tej wyjątkowej niepogodzie odpowiada nieszczególny stan głuszców i toków wogóle. Taki „Bodenwald“ naprzykład, gdzie w 200-morgowym lesie bukowym, o charakterze bardzo podobnym do lasów karpackich, grało w najlepszych latach 7 głuszców, w gorszych 3—4. Dziś jest tam jeszcze pełno śniegu i dopiero w tych dniach poszlę jednego ze strzelców na wysłuchy. Obawiam się, że raport z tego rewiru nie będzie miły! Rzeczywiście wysłany tam wczoraj na wysłuchy strzelec, melduje, że widział w całym rewirze tylko 1 głuszycę! Głuszca nie było ani jednego!

Rozważania, co — prócz niepogody — wpłynęło niekorzystnie na przebieg toków głuszczowych w Styrii, w roku 1937, są za obszerne, a ponadto stanowią one materiał dyskusyjny dla myśliwych - hodowców. Dlatego rozważania te — w ramach niniejszego reportażu — pomijam celowo.

Natomiast niech mi będzie wolno podzielić się z czytelnikami wrażeniami, z pierwszego podchodu na głuszce styryjskie w roku 1937-mym:

27. KWIETNIA 1937.

Jest to okres zwykle największego nasilenia toków głuszcowych, oczywiście nie w warunkach anormalnych, jak tego roku.

Wczoraj jeszcze odbyłem długi raport z łowczym i ze strzelcami. Padło w obydwu gminach: 4 kuny leśne i 8 lisów. (Nowa ustawa łowiecka obostrzona w duchu hodowlanym).

Już po 2.30 w nocy — przy księżycu w pełni — wychodzę na t. zw. „Schoberer“. Jest to tokowisko dość oddalone, do którego jednak dostęp wygodny, a mianowicie gościniec szutrowany, wiodący do stacji kolejowej i lekko stroma droga leśna, aż na miejsce. Na tym tokowisku strzelałem w niektórych latach po 3 głuszce. Tego roku jest ich zasadzonych 2. Jeden stary, gra dobrze, tylko miejsca nie dotrzymuje, a drugi, który tylko kłapie, nie zmienia natomiast swego miejsca zapadowego. Ze względów hodowlanych wybieram starego koguta. Już nie jestem dalej, jak 150 kroków od niego. Gra dobrze, ale ostrożnie. Słyszę kłapanie wprzód powolne z przerwami, potem coraz szybsze, wreszcie szlifowanie. Podchodzę coraz bliżej. Już go widzę. Siedzi na świerku. Jeszcze gra, ale zaraz zapadnie na ziemię, choć dopiero dochodzi godzina 3.30. Może zbyt pospiesznie strzelam i chybiam. Głuszcz odciąga całkiem zdrów w dół i znika mi z oczu, żeby po chwili zapaść na ziemię, w tyle za nami kilkadziesiąt kroków wyżej. Drugi kogut tylko kłapie, więc nawet nie próbuję go podejść, by go niepotrzebnie nie zruszyć. Natomiast moją inicjatywę myśliwską poświęcam staremu, poprzednio chybionemu kogutowi. Zaskakuję go pod górę. Jest na ziemi, na pagórku, ale nie na strzał. Już kury wabią, jest ich 6. Głuszec znów ciągnie w dół i znów zapada w krzakach na ziemi, by tu dziś dokończyć toków. Po raz trzeci go podchodzę. Znów go widzę i znów nie mogę strzelić.

Nie daję za wygrane. Tego samego dnia słyszę go w tym samym miejscu, gdzie rano, na zapadzie wieczornym. Po raz czwarty dziś zaskakuję go. Już jestem blisko, ale głuszca nie widać całkiem. W tem jakiś mniej ostrożny ruch z mojej strony, a głuszec, który siedział nizko, całkowicie zakryty gałęziami świerkowymi zrywa się i uchodzi nam z oczu. A zatem 4 spotkania z tym samym głuszcem, który okazuje się graczem nielada.

Następnej nocy strzelam głuszca w innym rewirze i dopiero na trzeci podchód (29. kwietnia 1937), wybieram się znów na tokowisko Schoberer.

Głuszec dobrze mi już znany, jest w tym samym miejscu gdzie przedwczoraj. Stwierdził to strzelec wczoraj na zapadzie wieczornym. Gra z początku dobrze, ale jest ostrożny. Często przerywa pieśń i tylko kłapie. Takiego starego i ostrożnego głuszca podejść na odległość strzału i zanim jeszcze zapadnie na ziemię, nie jest łatwem zadaniem dla myśliwego! Jednak dziś strzelam go wreszcie i podnoszę go po chwili, noszącego na sobie ślady zaciętych walk.

Pomimo naprawdę trudnych warunków, w jakich odbywają się tegoroczne toki, św. Hubert sprawił, że do dnia dzisiejszego zastrzeliłem 4 głuszce.

Jeszcze kilka ranków, mogę spędzić w lasach styryjskich, jeszcze kilka razy zaledwie mogę się rozkoszować tajemniczą, wspaniałą grą głuszca i zapomnąć o kłopotach i obowiązkach naszego — naprawdę nie łatwego — życia ziemiańskiego.

W Styrii, 1. maja 1737 r.

ZBIGNIEW HABDANK-CZARKOWSKI

Poemat lasu.

CZĘŚĆ VII.

NA CIĄGU.

Tak cicho....
o nie idź na stopach —
na palcach jak duchy
w powietrzu czystym płyń,
bo pod paproci puchem
rusałki leśne zbudzisz
na łzy....
na stokach zachodu różowi się słońce
księżyc wychylił twarz bladą,
niepewną;
chodź bliżej! —
na sośnie różowej z wieżycą złocistą
jest zamek
ze śpiącą królewną.
cyt cyt cyk cyk ccytt ccytt
czy śpiiiiiszcz? czy śpiijiiszcz?
— to leśny konik
na cztery z komarem
ręce
grają cichutko i w marzeń mozajkę
sny tulą królewskie,
dziewczęce —
idź ciszej....
pod stopą ci trzasła gałązka
tam sarna —
jeszcze nas usłyszy —
przestała paść się — patrzy w naszą stronę
idzie powoli,
wzrok czasem na nas zwraca łagodnie zdziwiony
i znika....
Zmierzch rozmalował na niebie fiolet
pachnący jak główki irysów.
Faun tupnął nogą, umaczał ją w smole —
cienie maluje
z pędzlem wędruje wiechcianym
i misą.
tak cicho....
tiurrrrrrrrrrrrr! tiurrrrrrr! tiurrrrrrr!
pit-pilit! pit-pilit! pit-pilit! — !
ostatni kłębek chmur się zadychał
płynie szybko po nieboskłonie
już dalej... już dalej...
na krańcach gdzieś tonie
w opale —
tędy pociągną!
patrz! widzisz?
na jasnym tle nieba dwa punkty
chrr! chrrr! chrrrr! chrrrr!
strzelaj!
Trzaskiem skrzydeł załomotał przerażony gołąb,
świsnął w locie skrzydłami – jeszcze zda się słuchał
trzasnął wreszcie daleko na sośnie
i ze złością
gruchał —
jak szkoda psuć ciszę!
upadły!
uważaj — znów ciągną nad nami —
dwa strzały —
patrz, jak się nagle jedna
w swoim locie łamie,
a druga jak wirem upada na ziemię;
chrrrr! chrrr!
pudło! — pomknęła jak strzała!
chrrrrr! chrrrrrr!
bij — już całkiem ciemno
chrrr! chrrrr! chrrrr! chrrr!
jedna
druga
trzecia
tuż nade mną
chrrrr! chrrr!
chrrrap! chrrrap!
leżą! leżą!
prawie pod stopami
chrrrr! chrrr!
chrrrap! chrrrap!
pójdziemy — już wcale nie widać —
tak cicho...
ostatni strzał we mgle się rozpłynął —
pit-pilit! pit-pilit pit-pilit!
tiurrrrrrrrrrrr! tiurrrrrrrrrrrr! tiurrrrrrrrrrr!
O! nie idź na stopach —
na palcach jak duchy,
w powietrzu samym płyń,
bo pod paproci puchem
rusałki leśne zbudzisz
na łzy...
Stań! —
słyszysz jak gada las w cichym poszumie?
klęknij!;
to drzewa się modlą
w świętym Zmierzchu tumie
przez „oka“ bagien
w sinych mgławic marach
idzie Zaduma,
pośród cieni, szara,
a z nią, za rękę najdroższa siostrzyca
płynie przez lasy
o zmroku
Smętnica..........
cyt!
Wierzchołków się nieme kołpaki kołyszą —
las płynie bezbrzeżną,
bezdenną ciszą....
Chodźmy!
Smętnica z Zadumą
przechodzą gdzieś
hen....
a Cisza ......
kołysze ......
dąbrowy ....
na ......
Sen ......

JAROSŁAW HUBALEK

Cygan „Mykita“.

(Ciąg dalszy)

A oni biegły po sobie z szybkością filmowych obrazków, i każdy przynosił nowe wydarzenia naszemu bohaterowi. Nowe były i rozmaite — prawda, lecz wszystkie mierzyły w jeden cel: sytość żołądka. Bo zwierz dziki, prócz miłości, dla której o głodzie zapomina, ma ten jedyny cel życia, oparty oczywiście na instynkcie samozachowawczym. A zapewnić żołądkowi stałą sytość nie tak łatwo, jakby się mogło zdawać tym, co mają pełne spiżarnie, lub pełne kieszenie.

Ileż to razy, mimo największych wysiłków, nasz cygan bywał głodny! Na szczęście, zwierz drapieżny zna się z głodem, nie cierpiąc równocześnie na katar żołądka po przyjedzeniu. Ten żołądek — to istna harmonijka; samoczynnie się ściska, ale zato w dwójnasób rozciąga przy dobrej okazji... Zresztą pod jesień — jeszcze nie można na głód narzekać. Jest młoda, tegoroczna zwierzyna, są myszy, są świeżo przepierzone ptaki, a gdy wszystko zawiedzie — co robić? chrabąszcz, pędrak, dżdżownica, jelonek, czy kret — to wszystko przecież — mięso! Grunt — nie opuszczać uszu! Gorzej będzie w zimie. Wszystkie moce sprzysięgną się w walce z żywem stworzeniem. Zwycięży silne — padnie słabe — w myśl naturalnej selekcji. A Cygan zwycięży niechybnie — poprostu kipi siłą żywotną!

Nadeszła pora rykowiska i las ożył. Co chwila słychać było łomot gałęzi pod badylami biegnących łań, las rozlegał się tętętem ryczących byków. Cygan nie wiedział co to znaczy, miał już zawiele tego niepokoju. Usunął się z hałaśliwego terenu i osiadł w nadbrzeżnej łozie, ciągnącej się na kilka kilometróów po obu brzegach rzeki. Było tu podostatkiem różnej nadbrzeżnej, wodno-lądowej zdobyczy, nie mówiąc o łatwem spotkaniu na sąsiednich ścierniskach z tłustym, jak wałeczek, chomikiem. Dla odmiany wystarczy przeszukać brzeg rzeki. Tu i ówdzie leży rybka, zraniona lub zabita w wodzie, wyrzucona falą na pasek. Że trochę nieświeża — to cóż? Tem smaczniejsza dla lisa. Są tu i tłuste, a bardzo smaczne wężyki, na metr długie, ze złotą koronką na główce. Pływają sobie najspokojniej po głębinie tak zwinnie, jak te rybki, na które zawzięcie polują.

A jednak i w tym zaciszu nie zaznał Cygan spokoju, jakby się wszystkie piekła sprzysięgły na jego skórę.

Z codziennemi hałaśliwemi krzykami pastuszków oswoił się już do tego stopnia, że się kiedyś tej niesfornej bandzie ukazał. „Czarny lis! Patrzcie — czarny lis“! ozwało się ze wszech stron i chłopcy, jak na komendę, rzucili się ku niemu. Machnął kitą i znikł w najbliższych zaroślach. Wiedział wprawdzie, że nic mu nie grozi złego, nie życzył sobie jednak bliższej znajomości z łobuzami.

W nich jednak zawrzała łowiecka krew. Dostać tego murzyna — to by była uciecha! A ile pieniędzy? Takiego futerka nie ma przecież ani pani nadleśniczowa! Nakupićby można i czekolady i kiełbasy i białych bułek, a jeszczeby zostało i na papierosy. Uradzili niebawem, jak się wziąć do rzeczy. Najlepiej wziąć tego kosmatego Bondego; dobry pies — żadnego zająca nie puści. A Cisa od sąsiada — doskonale nadgania! Trzeba je razem przyprowadzić na świeży trop! Niech tylko lisa wezmą, zaraz im go się odbierze, żeby skóry nie potargały. Józiek od gajowego — lisa oprawi, bo nieraz ojcu w tem pomagał i sto koron pewne!

A tymczasem Cygan, po nocnej włóczędze, znalazł sobie kryjówkę pod korzeniami wierzby nad samą wodą tak, aby i widok mieć otwarty wkoło i drogę do odwrotu wolną. Zwinął się w kłębek, nos przykrył kitą i usnął — tym smacznym, lisim półsnem, w którym się słyszy najlżejszy szelest.

Śnił właśnie o tłustym jarząbku, co niedawno wszedł mu w drogę — nad łąką, ze smakiem kłapnął po nim zębami, a jarzębek — o dziwo — zaszczekał! W jednej sekundzie Cygan już nie spał, a usłyszawszy powtórne szczeknięcie, zawietrzył raz i drugi i począł umykać gąszczem. Psy tymczasem, z głośnem szczekaniem szły po świeżym tropie, więc nagłym skokiem rzucił się dobre trzy metry w bok, zmienił kierunek i sunął gąszczem bez zbytniego pośpiechu, psy bowiem, kierując się w pościgu tylko nosem, nie mogły tem samem nacierać ostro. Nagłą kluczką dostał się chwilowo na ich tyły i stwierdził, że jeden z prześladowców jest ciężki w ruchach, drugi zaś, rodzaju żeńskiego, po głosie sądząc, młody, a więc i niedoświadczony. Począł więc lekceważyć psy, a pogoń uważać za ucieszną zabawę.

Bondy dobrze trzymał trop i szedł zapamiętale, choć język mu się już zwieszał ze spienionej mordy, a pot obficie kapał na ziemię, lis tymczasem uparcie krążył po gąszczu i ani myślał widocznie wyjść na czyste pole. Parę razy machnął mu kitą przed samym nosem, raz nawet, najbezczelniej poczekał na niego tak, że Bondy z całą wściekłością kłapnął za nim mordą.

Lecz zamiast tryumfalnego szczeknięcia — ozwało się bolesne skomlenie. W bojowym zapale przeoczył Bondy ostrą gałąź, powodzią tu kiedyś przyniesioną i uderzył o nią tak nieszczęśliwie, że stracił na parę minut dech i ze spuszczonym ogonem, krwawiąc obficie, wycofał się z dalszej pogoni. Legł ciężko pod miedzą i pomimo zachęty chłopców, ani się ruszył, liżąc świeżą ranę.

Cisa zato uganiała dalej po łozinie. Była lżejsza i młodsza, i miała głęboko wszczepiony zwyczaj wiejski nie darować żadnemu żywemu stwo-

rzeniu. Poprostu zanosiła się wesołym dyszkantem i szła uporczywie za Cyganem. Właściwie kręcili się oboje w koło, bo Cygan postanowił za żadną cenę nie wychodzić z łoziny na pole, gdzie słyszał krzyki pastuszków.

Toczył się wręcz stale w koło, krzyżował tropy, robił kluczki, słowem starał się możliwie zmylić pogoń. Niebawem jednak cała ta ciuciu-babka przestała go bawić. Odskoczył w bok i przywarował. Chciał puścić psa przed siebie i przeliczył się, pies bowiem widział ten manewr i skoczył prosto na kark lisowi. Zerwał się Cygan na równe nogi i momentalnie sam przeszedł do ataku. Błysnęły białe kły i Cisa poczuła bolesne ściśnięcie za gardło. Wyrwała się wprawdzie i próbowała atakować, lecz Cygana porwał już istny szał bojowy. Nie ciął głupio, jak pies, po nogach, czy uchu. Chwycił odrazu tam, gdzie tai się właściwe źródło życia, za gardło. I chwycił mocno. Ostre kły przejęły kudły i skórę, jedno energiczne szarpnięcie i z głębokiej rany żygnęła obficie krew, napełniając śmiertelnym lękiem psią duszę.

Nie czekając, aż chłopcy, którzy słyszeli, a może i widzieli walkę, przybiegną psu na ratunek, opuścił Cygan plac boju i opuścił niegościnną łozinę — na zawsze. Wrócił znów do rodzinnego lasu, gdzie większy panował spokój, gdzie niema psów włóczęgów, gdzie on sam jest właściwym panem i królem.

XIII. NOWE PRZYGODY I NOWE WAWRZYNY

Było to w pełni babiego lata. W powietrzu unosiły się długie jego włókienka, na końcu których siedział mały pajączek-awiata, skazany, jak starodawny żeglarz, na kierunek wiatru. Słońce coraz częściej zapominało o swych dzieciach na ziemi, nie ukazując się im całemi dniami. Korzystał z tego mróz i próbował młodych sił, rzucając się na delikatne, letnie rośliny. Drzewina, doświadczeńsza, znała go już dobrze i nie dała zaskoczyć się znienacka. Zawczasu ściągnęła wszystkie soki do korzeni, otrząsała zwolna liście i czekała spokojnie.

Zwierz zmieniał letnie szaty. Pierwsze zaczęły sarny; ceglasto czerwone sukienki zastępowały skromniejszemi wprawdzie, szaremi, ale zato cieplejszemi, z długim włosem. Rogacze roniły zwolna parostki, a wyłysiałe, potulniały i nie wstydziły się towarzystwa swych małżonek i działek.

I zające też poszarzały. Po letniej łatwowierności — ani śladu. Ledwie kilka strzałów padło, a już wszystkie wiedziały, że nastał najgorszy dla nich czas, jesienny odstrzał. Bo niesłusznie ludzie pomawiają zająca o głupotę. Nieraz mogłoby się zdawać, że gdzieś w koniczynie ma schowany kalendarz — tak dobrze wie, kiedy nie potrzeba się strzelby obawiać. Przed zachodem słońca najspokojniej siada sobie tuż przy drodze, którą codziennie przechodzi leśnik, i stale, o tej samej godzinie, w tem samem miejscu, łuska buraki lub kapustę. Myślisz, miły czytelniku, że spotkasz się z nim w sezonie? Nigdy!

Jarząbek — to taki sam cwaniak. W lecie całe stado codzień można było widzieć na leśnej linii. Furknęły, rozleciały się na wszystkie strony, ale dwa lub trzy napewno zapadły na najbliższe drzewa. Dziś nic podobnego! Jakby go tu nigdy nie było, albo się zupełnie wyniósł z rewiru.

Po lesie, między nagimi pniami, kładą się długie cienie, w powietrzu czuć wilgoć, a opadłe, mokre liście przemoczą najlepsze nawet obuwie.

Pstrągi w leśnym potoku dawno się już nie ukazują w przejrzystej toni, zaszyły się w zaciszne dziury pod kamieniami lub staremi pniami. Wyrzekła się smacznego kąska i wydra, znacząc swój obchód już tylko skorupami raków.

Cygan też nie zapominał o nadchodzącej zimie. Futerko mu zgęstniało, a równocześnie przybyło w niem białych, długich włosów tak, że grzbiet cały wyglądał, jak śniegiem popruszony. I kita mu zgęstła, że nie objąłbyś jej palcami obu rąk. Był właśnie u szczytu swego rozwoju fizycznego, prawdziwy Herkules lisiego rodu.

Jakoś to w tym czasie uniknął Cygan niechybnej śmierci dzięki prostemu przypadkowi, a po części i nieostrożności myśliwego. Strach pomyśleć, jakby się mogło było skończyć, gdyby los nie był się uśmiechnął do niego.

Był już listopad, najlepszy czas na borsuki. Cygan odpoczywał sobie, po szczęśliwych łowach, w starej norze, którą nienawno opuścił borsuk. Bóg wie czemu, i wyprowadził się gdzieindziej. Opuszczone mieszkanie przydało się Cyganowi, choć miał kilka na zapas. Od przybytku głowa nie boli.

A gdy tak sobie spoczywał w nowej siedzibie, w lesie działo się zgoła coś innego.

Oto wąską ścieżyną szedł leśny z ostrym foksem na smyczy, za nim dwóch ludzi z łopatą i kilofem. Doszedłszy do miejsca, gdzie kiedyś, przed laty, wypalano drzewny węgiel, a które odtąd zatrzymywało na stałe nazwę „na smolarni“, zboczyli na prawo, przeskoczyli potoczek i zaczęli piąć się w górę. Szli na pewniaka, znali bowiem dobrze borsuczą norę, stale zamieszkaną. Doszli, położyli na ziemi narzędzia, potem leśny obszedł norę, sprawdził wyloty i spuścił psa ze smyczy. Ten w jednej chwili zniknął pod ziemią. Jeszcze przed spuszczeniem musiał poczuć lisa, bo drżał febrycznie i scicha skomlał.

Cygan dawno już nie spał, obudzony głuchem dudnieniem ziemi pod stopami ludzi. Po chwili ujrzał w norze, pełzającego na brzuchu, psa... Mniejsza z tem — ale ci ludzie!

C. d. n.

ANTONI PISULIŃSKI

Krokodyl afrykański

(Dokończenie).

W ciągu długich lat pobytu mego w Afryce, gdzie w ustawicznych podróżach po rzekach i podczas polowań na bagnach i moczarach, byłem często zmuszony przebrodzić wody, sięgające mi nieraz po ramiona — a więc obracając się — jakby więc można — ciągle między krokodylami — nie miałem ani jednego wypadku, aby mnie lub którego z moich ludzi, krokodyl zamierzał atakować.

Co prawda nie byłem wtedy sam, ale w otoczeniu większej liczby murzynów, a to dla tchórzliwego jaszczura jest już pewnym hamulcem. Do tego, gdy szło o przebrodzenie jakiejś głębszej rzeczki lub jeziora, to spacer taki odbywał się z wielkim hałasem towarzyszących mi murzynów, przy biciu kijami o wodę, czasem nawet przy akompaniamencie paru strzałów w głębinę, aby znajdujące się tam ewent. płazy — przepłoszyć.

Czy te środki zapobiegawcze były jednak wystarczające — tego dziś nie mógłbym z całą stanowczością twierdzić. Mojem zdaniem — wszystko zależy od okoliczności — jak, kiedy i gdzie.

Na ogół z moich ludzi — z służby domowej, robotników, wioślarzy lub tragarzy, — straciłem jednego tylko człowieka, w czasie, gdy byli u mnie zajęci w ciągu lat dziesięciu. Był nim — niestety — długoletni mój kucharz Martinio, którego stratę żywo odczułem. Zginął na faktorii naszej w Szamu — tam, gdzie się swej śmierci okrótnej — najmniej spodziewał. Porwał go krokodyl w chwili, gdy mył garnki nad rzeką.

Ze śladów, jakie obok garnków po sobie zostawił — mogliśmy sobie stworzyć przybliżony obraz — jak z nienacka został przychwycony (za nogę) i jak się krokodylowi opierał.

Zdarzyło się to tuż przed naszem osiedlem — w zatoczce, gdzie były przymocowane nasze łodzie. Jakkolwiek to miejsce było zawsze pełne ruchu i hałasu — i krokodyle zdala od niego się trzymały, to wielka głębia mogła zawsze tam je zwabić.

Dla czego ten nieszczęśnik właśnie to miejsce obrał sobie w ten dzień feralny do mycia garnków, pozostało tajemnicą. Podejrzywać tylko mogłem, że uczynił to w stanie nietrzeźwym (tego dnia pito „pombę" we wsi) i przy tej czynności usnął. Był to najstosowniejszy moment dla krokodyla, aby zaopatrzyć się w tanie mięso, — i wykonał swój atak ze skutkiem.

. . . .

W czasie posuchy, gdy liczne strumienie górskie i inne dopływy rzeczne zaczynają wysychać — krokodyle, które się w porze deszczowej do nich przedostały — wynoszą się stamtąd w miarę, jak wody ubywają, dążąc do macierzystych rzek lub jezior. Zdarza się jednak — lubo bardzo rzadko, że bywają od nich odcięte. Gdyby przypadkowo tak się stało, żeby naturalne połączenie drogą wodną utraciły, to potrafią — mimo swą nieudolność posuwania się na stałym lądzie — i tędy trafić do swego żywiołu. Poprostu wędrują — posuwając się nocą od etapu do etapu, aż dojdą do celu.

Czy tak jest w rzeczywistości — powiedzieć nie mogę, sam bowiem tego nie stwierdziłem, ale wypadek, który tu podaję — wiele by za tym przemawiał.

Było to w roku 1890. w czasie mej wyprawy na słonie. Posucha była niezwykła — nawet jak na afrykańskie stosunki. Znalazłem się wówczas na stepach, nad środkową Szirą.

Pożary, wzniecane tam od szeregu tygodni — oczyściły step z wszelkiej roślinności. Maszerując z moją karawaną środkiem stepu — miałem przed sobą i za sobą, z jednego i drugiego boku — niezmierzoną okiem — nagą, szarą pustynię.

W pewnym momencie znaleźliśmy się na zagłębionym nieco terenie, który wskazywał na to, że tędy w czasie deszczów płynęły wody — możliwie jakiś strumień sezonowy. Zazwyczaj strumień taki — z chwilą, gdy w górach źródła jego wyschną — zachowuje jeszcze dość wód w nisko położonych miejscach, zwłaszcza na terenach torfowych, dzięki gęstej szacie mięsistej i bujnej trawy, która ich łożyska zarasta.

Powstają tedy na stepie — jak to bywało zawsze na terenie „Elephant marshes" — t. zw. przez tubylców martwe wody (madżi - wa - kufa), gdzie — o ile głębokość była dostateczna — krokodyle nawet w porze suchej przebywały.

Ale w pamiętnym roku suszy — nawet i w tych zagłębieniach dawno już wody nie było, a gdy skutkiem tego trawiska, dno zarastające również poschły — pożar stepowy strawił je doszczętnie. Zaledwie szczątki nadwęglonych łodyg — jakie tu i ówdzie z ziemi sterczały — mogły o tym świadczyć, że tu do niedawna krzewiła się, jedna z najbujniejszych roślin trawiastych ziemi afrykańskiej.

Na tym niesamowitym cmentarzysku zobaczyliśmy — ku naszemu zdumieniu — szkielet potężnego krokodyla — doskonale zachowany!

Mało! Kościec ten był tak skrupulatnie z mięsnych części oczyszczony i przez słońce wyblichowany, że mógłby śmiało reprezentować ród krokodyli w pierwszorzędnym muzeum.

Nie mierzyłem go, ale oceniając na oko — mogłem mu na pewnika przyznać sześć metrów długości.

Kły, które dały się łatwo z szczęk wyjąć — zachowałem na pamiątkę, jako rzeczywiście rekordowe. Były one tak potężne, że mogły rywalizować z kłami największego lwa.

A teraz pytanie — skąd się tam ów jaszczur wziął — i jaką śmiercią zginął?

Depresja terenu, gdzieśmy go znaleźli — nawet w czasie, gdy była pełna wody, nie mogła być

jego stałem schronieniem. Była poprostu za płytka dla takiego olbrzyma. Musiał więc skądś przywędrować. A dokoła w promieniu wielu kilometrów nie było żadnego większego zagłębienia, basenu lub jeziorka, — zaś do rzeki Sziry, — conajmniej dwanaście kilometrów w linii powietrznej.

Przywędrował tu zatem z dość daleka -- prawdopodobnie w czasie gdy step pokrywały jeszcze trawy.

W jaki sposób zginął — było jeszcze bardziej tajemnicze...

Szkielet nie wykazywał żadnych śladów, z którychby było można wywnioskować, że padł od kuli, oszczepu — względnie innej jakiej broni, będącej na usługach człowieka. Żadnego zgniecenia, żadnego zgruchotania — chociażby drobniejszych kości. Nie mógł tu wchodzić w grę akt przemocy wielkiego jakiegoś zwierzęcia — słonia, hipototana lub bawoła — co się czasem zdarza, te by go bowiem rozbiły i rozdeptały, tym mniej nie mógł pochodzić od silniejszego od siebie pobratymca, co miałoby podobne skutki.

Leżał nietknięty w takiej pozycji, jakby ktoś umyślnie nad tym pracował, by kościec tego jaszczura jaknajlepiej uwydatnić.

A więc?... Zagadka, nad którą warlało się zastanowić!... Trapiła mię ona dość długo, gdy nad jej rozwiązaniem się głowiłem, wreszcie — widząc, że i murzyni nic stanowczego w tym kierunku powiedzieć nie mogli — dałem za wygraną.

Jedno, co było pewnem — że ostatecznem odczyszczeniem kośca zajęły się mrówki wędrowne, które dokonują tę operację z godną podziwu skrupulatnością.

. . . .

. . . .

Mówiąc o krokodylu — nie mogę pominąć jego małego, ukrytego wroga — Ichneumona. Małe to stworzonko (wielkości kota domowego), żywiąc się między innemi — także jajami krokodyla, staje się przez to największym tępicielem rodu tych jaszczurów — niszcząc ich gniazda, względnie dołki, gdzie jaja są składane. Mając zmysły odpowiednio wyrobione w ich odnajdywaniu — mógłby stać się niezastąpionym współpracownikiem człowieka w tępieniu tych niebezpiecznych płazów, gdyby je odpowiednio wytresował i dla powyższych celów użył. A oswaja się nadzwyczaj łatwo.

Nad Zambezą żyje odmiana Ichneumona — t. zw. Mangusta (Herpestes gracilis) — bardzo miłe stworzonko, a w stanie oswojonym — najlepszy towarzysz człowieka.

Nie wątpię, że owa Mangusta dałaby się do celów wspomnianych — doskonale użyć.

. . . .

Krokodyla zwą kafrzy z naddolnej Zambezy — „niakolo“ — nad Szirą — „ngona“.

Wystawa Łowiecka w Berlinie.

Małopolskim myśliwym przypominamy, że termin zgłaszania eksponatów na wystawę, upływa z dniem 10. czerwca b. r.

Zgłoszenia należy wysyłać na ręce M. T. Ł.

Kącik bibliofilski

MYŚLIWSKA ŁACINA?

(Na nutę: „Pije Kuba do Jakuba“)

Mówił autor do zbieracza:
„Książkę dam ci w darze.
„Na podarki się wytłacza
„Extra-egzemplarze“.
Zbieracz „pogotowie trzyma“,
Czeka. Przyszła „Gwiazdka“,
Nowy Rok, minęła zima,
Ptaszki ścielą gniazdka...

Przekazali nam Rzymianie
Mądrość niespożytą.
Komuż nie jest znane zdanie:
„Bis dat qui dat cito“?
Skoro o łacinie mowa,
Cóż się przypomina?
Że istnieje także owa
Myśliwska „łacina“.

Ta zaś książka obiecana
Jest myśliwskiej treści...
Może w tem poszukiwana
Odpowiedź się mieści?
Może tylko „na cel brano“
Extra-egzemplarze,
Ale w torbie ich nie miano?
Przyszłość to pokaże.

W. Z.

Przypisek: Wkrótce po napisaniu powyższych rymów i przesłaniu ich pod właściwym adresem, okazało się, że specjalne egzemplarze książki prof. Wacka „Darz-Bór“, bo o nich tu mowa, są nie „łaciną“, ale rzeczywistością i to bardzo ładną rzeczywistością. Przyczyną zwłoki była właśnie praca nad ich wyglądem, bo otrzymały oryginalną płócienną oprawę z wytłaczanym złotymi literami nazwiskiem i tytułem i wynagrodziły w zupełności wystawioną na próbę cierpliwość oczekujących. Obecnie są już wszystkie, w liczbie pięćdziesięciu, rozesłane stosownie do swego przeznaczenia. W handlu nie pojawiły się.



Korespondencje

Sambor, dnia 19 marca 1937.

Lisy na terenie pow. samborskiego w roku 1936.

Polując od 10 prawie lat w powiecie samborskim, jeszcze żadnego roku nie spotkałem się z taką ilością lisów jak w roku 1936. Nie było dosłownie opolowanego terenu, gdzie by nie ruszono sztuk kilka i choćby dwóch, trzech sztuk nie ubito.

W każdym miocie leśnym czy też kociołku miał ktoś z lisem spotkanie, a ogólna ilość lisów ubitych w sezonie 1936 roku dosięgła liczby 100 sztuk, co na prawdę jest rekordem, zwłaszcza jeśli się zważy że i ilość ubitych zajęcy w roku też była dość wielka.

W powyższym moim sprawozdaniu do „Łowca" podałem ogólny wynik niektórych polowań, a obecnie po otrzymaniu reszty relacyj zestawiłem wyniki odnośnie lisów i stwierdziłem, że padło tychże około sto sztuk prócz tych, które dostały się w sidła lub we wnyki.

Ogromna ilość myszy polnych jesienią 1936 spowodowała, że lisy masowo trzymały się pól i bardzo często w kociołku czy też w ławie były z mniejszym lub większym szczęściem strzelane.

Na polowaniu oficerskiego kółka myśliwskiego w Biskowicach w jednym tylko kociołku ruszono 7 lisów, z czego padło 4. W innych kotłach też były lisy, lecz uszły przed zamknięciem kotła.

Na polowaniu w lesie w Brześcianach samborskiego Tow. Myśliwskiego zabito również w jednym miocie 4 lisy a ruszono 8. Ponadto jeszcze w innych miotach zabito dwa. Jeden z zabitych tam lisów przez inż. Gascha z Komarna miał lewą tylną stawkę dosłownie amputowaną po skok, ponadto na podbrzuszu i grzbiecie szerokie na 2 cm wyłysienie jako ślad po drucianym wnyku, był to stary weteran knieci, bo po oglądnięciu szczęk okazał się zupełny brak siekaczy, co wskazywało na podeszły wiek lisiury, mimo to był wcale dobrej kondycji, a jeden z nagonki twierdził, że stale „ten Kulas" był gościem w jego kurniku.

Ciekawy był również wynik lisiego rozkładu na polowaniu w lasach W. P. Ujejskiej w Barańczycach-Chlewiskach, prowadzonym przez P. Ekerta Ludwika, ruszono tam bowiem w jednym miocie 11 lisów, z czego padło 6, a w następnych miotach sztuk jeszcze trzy, z czego jeden dotknięty był świerzbem (sarcoptes scabici varietas vulpes).

Podobnie wysoko dotkniętego świerzbem lisa skradającego się do kaczek na Strwiążu strzelił jeden z członków Samborskiego Tow. Myśliwskiego, z czego wynika, że jeszcze świerzb gdzieniegdzie nawiedza lisy.

Ponadto zabito po kilka lisów w Nadybach, Radłowicach, Wykotach, Humieńcu, Kowenicach, Zarajsku, Kulczycach Szlach. i Kulczycach Rustykalnych, w Sielcu i w całym szeregu innych miejscowości.

Zastanawiając się nad tą niezwykłą ilością lisów w tym roku na terenie tut. powiatu, doszedłem do wniosku, że nadzwyczajna ilość myszy w jesieni, wskutek której nawet nie robiono ozimych zasiewów, spowodowała wędrówkę lisów z innych terenów do pow. samborskiego, a mając podostatkiem łatwego do zdobycia smacznego pokarmu, pozostały już aż do mrozów, ozdabiając swymi kitami rozkłady tegorocznych polowań.

Mimo tego, że lisów strzelano tak dużo, w lutym obserwowano w dalszym ciągu bardzo wiele lisów, nawet na terenach silnie opolowanych.

Ciekawą będzie rzeczą jak będzie wyglądał stan zajęcy i lisów po tej zimie, w roku 1937.

Bolesław Strzelecki
Del. M. T. Ł.

Dnia 25. I. 37 polowano w Łanach sieleckich pow. Kamionecki w 10 sztrzelb u Kaz. Godlewskich. Na rozkładzie 92 zające (219 strzałów) — opolowano 1 miot polny i 12 leśnych przy 22° mrozie z ostrym wiatrem, co w silnym stopniu zepsuło wynik polowania — stan zwierzyny niezły.

G.

Sprawozdanie łowczego powiatowego w powiecie mościckim Województwo lwowskie za rok 1936/37 — od 1. kwietnia do 31. marca 1937.

Spełniając jeden z podstawowych obowiązków łowczego powiatowego, składam tak dla wiadomości M. T. Ł., jakoteż dla wiadomości myśliwych, towarzystw łowieckich i Władz w powiecie, sprawozdanie roczne. Sprawozdanie to będzie odczytane na posiedzeniu Powiatowej Rady Łowieckiej, zwołanym na dzień 17 czerwca br.

Sprawozdanie niniejsze jest drugim z rzędu, a porównując wyniki pracy w roku ubiegłym z takimiż w roku 1935/36, można podać z pewnym zadowoleniem, że się coś nie coś dało zrobić.

Po założeniu wykazu obwodów łowieckich wspólnych i własnych, na podstawie dat uzyskanych ze Starostwa, stwierdzono, że niektóre nie są jeszcze zarejestrowane po myśli ustawy łowieckiej. Zwrócono na to uwagę i uzyskano w niektórych dodatkową rejestrację. Istnieje jednak w powiecie jeszcze sześć gromad, które mając po temu warunki, nie są zarejestrowane. Są też cztery niezarejestrowane obwody, w których poluje się samoistnie. O ile są to obwody własne, to ich właściciele narażają się na to, że ich obwody będą włączone do obwodów wspólnych i wspólnie będą wydzierżawione, co może zajść już w roku bieżącym, gdyż w szeregu obwodów okres sześcioletni już się kończy. O ile nie zostały zarejestrowane obwody wspólne, to nie będą one mogły być wydzierżawione i gminy względnie uprawnieni poniosą stratę materialną, a dla podniesienia łowiectwa, fakt ten nie wpłynie dodatnio.

Drugą czynnością było założenie ewidencji posiadanych kart łowieckich w powiecie, względnie tych, którzy karty te mieli, ale je w czas nie prolongowali. Niezawodnie na najbliższym posiedzeniu Powiatowej Rady Łowieckiej wyjaśni się, czy przestali polować, a może do tego czasu zaopatrzą się w karty łowieckie, aby z rozpoczęciem sezonu łowieckiego nie być tak zwanymi „legalnymi kłusownikami" i nie narażać się na dotkliwe kary. Zaznaczyć wypada, że przestrzegając rygorystycznie zasady legalności wykonywania łowiectwa, ułatwi się organom bezpieczeństwa wykrywanie kłusownictwa i zapobiegnie niszczeniu zwierzostanów, a przysporzy środków funduszowi popierania łowiectwa.

Przed uporządkowaniem tej sprawy w powiecie i przed ukończeniem organizacji P. Z. Ł., podpisany nie dopomina się o prawo opiniowania próśb, o wydanie kart łowieckich, nie mając podstaw udzielania sprawiedliwej opinii.

Następną czynnością, było spowodowanie założenia w Starostwie osobnej ewidencji przekroczeń łowieckich i uzyskanie z tej ewidencji odpisu, na podstawie którego stwierdzić można, że kiedy w ubiegłym roku zanotowano tylko sześć przekroczeń, to w roku sprawozdawczym dzięki zainteresowaniu tymi sprawami Powiatowego Komendanta P. P., doniesień było znacznie więcej, a ukarań za kłusownictwo i posiadanie broni myśliwskiej było 20 przypadków. Zarządzenia te urosły już przeważnie w moc prawną i kary już wykonano. Za tę akcję miło mi jest w interesie podniesienia łowiectwa, wyrazić podziękę Panu Staroście i referentowi karnemu Starostwa, jakoteż organom Policji Państwowej.

O ile chodzi o statystykę, to okazuje się pod tym względem znaczna poprawa, gdyż kiedy w roku ubiegłym na 79 obwodów uzyskano sprawozdania tylko z 34 obwodów, to w roku sprawozdawczym, brakowało sprawo-

zdań tylko z 11 obwodów, co niezawodnie będzie na posiedzeniu Powiatowej Rady Łowieckiej uzupełnione. Na podstawie tych dat, które obecnie mamy do dyspozycji, stwierdzić ogólnie należy, że stan zwierzyny poprawił się, a to dzięki łagodnej i bezśnieżnej zimie 1935/36, dzięki wykładaniu paszy w niektórych obwodach, dzięki pilniejszemu wybijaniu szkodników czworonożnych i ptactwa szkodliwego, a wreszcie, po części i dzięki pilniejszemu ściganiu kłusownictwa i wnykarstwa. W niektórych obwodach wstrzymano się w ogóle od polowań, dla pomnożenia zwierzyny, względnie poluje się tylko raz na dwa lata.

Cyfry niżej podane zawierają daty z roku sprawozdawczego 1936/37.

Ubito: jeleni 1, sarn kozłów 74, zajęcy 1.837, kuropatw 1.051, przepiórek 82, bażantów 9, dzikich kaczek 87, lisów, kun etc. 69, szkodników czworonożn. 368, ptaków szkodl. 1.221.

Z postulatów łowieckich podnoszę potrzebę pilniejszego ścigania i wyższego, a szybszego karania kłusowników i wnykarzy, potrzebę zniżenia opłat gminnych od polowania. Należałoby też wydać zakaz puszczania psów podwórzowych samopas wzgl. brania ich przez rolników w pole, gdzie niepokoją i niszczą zwierzynę, zwłaszcza kuropatwy w gniazdach. Należałoby też zaprzestać przynajmniej na jakiś czas polowania, na tak zw. „deptanego" zająca.

W końcu muszę dodać, że w czerwcu roku ubiegłego, zwołano powiatowy zjazd łowiecki, na którym jawiło się niestety tylko około 20 myśliwych, a ze strony Władz administracyjnych i bezpieczeństwa nikt się nie jawił. Poruszenie różnych ważnych tematów i ożywiona nad nimi dyskusja wskazały jednak na potrzebę takich zebrań, przynajmniej dwa razy do roku. Potrzebie tej uczyni zadość w przyszłości statutowy obowiązek częstszego zwoływania zebrań Powiatowych Rad Łowieckich.

Na zakończenie podaję wiadomości z polowań, na których byłem, względnie o których słyszałem. Na pierwszym miejscu postawić muszę polowanie u p. Gustawa Ruppa w Wołostkowie dlatego, że mając skromne warunki hodowli zwierzyny łownej, potrafił na małym obszarze lasu i małym obwodzie własnym dochodzącym zaledwie do 150 ha., dzięki polowaniu raz na dwa lata i dzięki energicznej opiece, którą otacza zwierzynę, stworzyć oazę z pustkowia i doprowadzić z początkowych dwóch, czy trzech zajęcy do 139 sztuk zabitych na polowaniu gremialnym. Ku ubolewaniu zapobiegliwego tego hodowcy, lisy znajdujące się w kotle zdołały się wymknąć.

Drugim łowiskiem, zasługującym na wzmiankę, jest knieja w Dołhomościskach, która przy, dzięki Bogu, obecnie osobistej i wytrawnej gospodarce właściciela inż. Tadeusza Filipowicza, coraz piękniejsze daje rezultaty. Na dwóch gremialnych polowaniach, padło tam 3 rogacze, 106 zajęcy i 4 lisy. W sezonie i pokot kuropatw, był tam piękny, gdyż padło ich przeszło 60, a nadto 15 przepiórek i 9 bażantów. Polowanie w Stojańcach i przyległych terenach zagospodarowanych przez p. Bronisława Skibniewskiego nie udało się, z powodu fatalnej wietrznej i mroźnej pogody. Polowania w Trzcieńcu u p. Adama Yungi i Sądowej Wiszni u p. Krzysztofa Marsa, dały wyniki dobre. U tego ostatniego nadmierny stan saren-kóz. spowodował udzielenie pozwolenia na odstrzał 20 sztuk sarn. W znanej przedwojennej kniei w Krysowicach — cicho — podobno nie polowano. W Balicach ubito 9 kozłów i 95 zajęcy. W kuropatwach palmę pierwszeństwa dzierży Tow. myśl. ze Lwowa „Żubr" z cyfrą przekraczającą 300 kuropatw.

Sądowa-Wisznia, 24 maja 1937.

Aleksander Ulm
łowczy powiatowy na pow. mościcki

Program zawodów strzeleckich z broni myśliwskiej

które odbędą się w dniach 26, 27, 28 i 29 czerwca br. na strzelnicy garnizonowej Kleparów.

Zawody dla M. T. Ł.

Strzelania myśliwskie obejmują cztery konkurencje, dwie z broni kulowej, dwie z broni śrutowej, a mianowicie:

Broń kulowa.

Mk. I. a. Strzelanie na 100 mtr. do ruchomego jelenia naturalnej wielkości i zabarwienia, podzielonego na pola od 1—5, pięć strzałów w 5 przebiegach na przestrzeni 23 mtr. w 4 sekundach. Możliwych 25 punktów, 10 minut czasu na serję. Dwa strzały próbne w 2 przebiegach dozwolone.

Mk. 3. a. Mały dzik ruchomy na 50 mtr., podzielony na pola od 1—5, pięć strzałów w 5 przebiegach na przestrzeni 23 mtr. w 4 sekundach. Możliwych 25 punktów, 10 minut na serję. Dwa strzały próbne jak wyżej.

Broń śrutowa.

Mś. 3. a. Zając ruchomy na 35 mtr. w 10 przebiegach na przestrzeni 10 mtr., w 4 sek. Zając ma na komorze krążek, który musi być rozbity. Trafiony zając liczy się 1 punkt. Możliwych 10 punktów. Strzelba śrutowa dowolna, kaliber najwyżej 12, średnica śruciny 3 mm, ze względu na bezpieczeństwo obsługi. Maksymalna waga śrutu 36 gr.

Mś. 3.a . Strzelba śrutowa dowolna, kaliber najwyżej najwyżej 12. Maksymalna waga śrutu 36 gr., średnica śruciny nie większa niż dwa i pół mm.

Dwadzieścia rzutków na odległość 15 mtr. Możliwych 20 punktów.

Prócz tych strzelań równocześnie odbywać się będą Zawody o Mistrzostwo Okręgu VI. z broni myśliwskiej kulowej i śrutowej.

Broń kulowa.

Mk. I. Strzelanie do jelenia, warunki jak wyżej, ale zawodnik musi oddać 25 strzałów w 5 seriach po 5 strzałów.

Mk. 3. Strzelanie do małego dzika, warunki jak Mk. 3. a., ale 25 strzałów w pięciu seriach po 5 strzałów.

Broń śrutowa.

50 rzutków w 4 seriach 10, 10, 15 i 15. O Mistrzostwo Okręgu VI. i O. S. Strzelanie do zająca, warunki jak wyżej, z tą zmianą, że zając przebiega przestrzeń 23 mtr. i zawodnik musi strzelać do 30 zajęcy w 3 seriach 10 przebiegów.

Strzelania ćwiczebne kulowe i śrutowe do tych zawodów odbędą się w dniach 13. i 20. czerwca, od godziny 9-tej na Kleparowie.

Bliższe informacje w Warszawskiej Spółce Myśliwskiej, Plac Mariacki 4.

Kpt. sportowy
Mgr. St. Jaśkiewicz



Z Polskiego Związku Łowieckiego

Protokół posiedzenia Zarządu Związku z dnia 14. IV. 1937.

Przewodniczył obradom P. Prezes Generał Broni Kazimierz Sosnkowski, obecni byli P. P.: Wiceprezesi — Inż. Leopold Skulski, Generał Dyw. Kazimierz Fabrycy, Ppłk. Konstanty Chłapowski, Maurycy Hr. Potocki; członkowie — Stanisław Beszczyński, Olgierd Ks. Czartoryski, Jerzy Dylewski, Red. Walenty Garczyński, Bohdan Gędziorowski, Prof. Józef Gieysztor, Inż. Jan Grabowski, Kazimierz Kamieński, Inż. Herman Knothe, Szamb. Tomasz Komierowski, Jan Koźmian, Józef Krauze, Konrad Landsberg, Dr. Adam Lardemer, Czesław Lisowski, Michał Pawlikowski, Józef Pierożyński, Roman Hr. Potocki, Józef Skrzypek, Inż. Henryk Sosonko, Wacław Szperling, Andrzej Śliwiński, Inż. Tadeusz Śliwiński, Inż. Kazimierz Tołłoczko, Dr. Aleksander Tallen-Wilczewski, Dr. Józef Żenczykowski; sekretarzował Jerzy Bokiewicz.

Nieobecność usprawiedliwili P. P.: Wiceprezes Bolesław Świętorzecki, Juliusz Hr. Bielski, Dr. Jan Łukowicz, Karol Ks. Radziwiłł, Dr. Edward Skowroński, Aleksander Ulm, Franciszek Unrug i Jan Żukotyński.

Treść opracowanego przez sekretarjat sprawozdania z działalności Związku za rok 1936 Zarząd przyjął do zatwierdzającej wiadomości.

Sprawozdanie z biegu prac reorganizacyjnych od momentu zatwierdzenia nowego statutu Związku, tj. od dnia 5 grudnia r. 1936 do dnia 13. marca r. b. — złożył P. Prof. Gieysztor, pełniący zastępczo obowiązki Przewodniczącego Wydziału Wykonawczego.

Zarząd Związku sprawozdanie to również przyjął do wiadomości, zatwierdzając przytem przedłożone przez Wydział Wykonawczy: instrukcję działalności Oddziałów Związku i Tymczasowych Wojewódzkich Rad Łowieckich, regulamin dla Łowczych i Podłowczych oraz wzory legitymacyj dla Łowczych, Podłowczych, członków zwyczajnych i nadzwyczajnych Związku.

Sprawozdania, obejmujące działalność Związku w roku 1936 i dotychczasowe wyniki reorganizacji — postanowiono wydrukować w oddzielnej broszurze, która rozesłana będzie, jako dodatek do „Łowca Polskiego", wszystkim instancjom organizacyjnym.

W toku dyskusji nad postępem akcji reorganizacyjnej przedstawiciele Oddziałów Związku i Tymczasowych Wojewódzkich Rad Łowieckich poruszyli szereg kwestyj, związanych z interpretacją niektórych postanowień statutu oraz z lokalnemi warunkami, które wpływają na rozwój życia organizacyjnego.

Wyjaśnień w tej mierze udzielali: P. Prezes Generał Sosnkowski, P. P. Wiceprezesi: Inż. Skulski i Gen. Fabrycy oraz P. P. Red. Garczyński i Prof. Gieysztor.

W łączności z wprowadzeniem nowego statutu dwa dotychczasowe Oddziały Związku wystąpiły z wnioskami o pozostawienie im, na podstawie §§ 37 i 70 statutu, dotychczasowych nazw z podtytułami, określającemi ich charakter, a mianowicie:

Towarzystwo Łowieckie Ziem Wschodnich, Oddział Polskiego Związku Łowieckiego na województwa wileńskie i nowogródzkie

i Wielkopolski Związek Myśliwych, Oddział Polskiego Związku Łowieckiego na województwo poznańskie.

W dłuższej dyskusji rozważano, czy wskazane jest powzięcie już teraz decyzji, czy też odłożenie tej sprawy do czasu ukonstytuowania Naczelnej Rady Łowieckiej.

W wyniku głosowania, większością 19-tu głosów przeciw 6-ciu — przy wstrzymaniu się od głosowania jednego z członków Zarządu, Zarząd Związku, na prawach Naczelnej Rady Łowieckiej, ustalił następujące nazwy dwu wymienionych Oddziałów:

Oddział Polskiego Związku Łowieckiego w Wilnie
Towarzystwo Łowieckie Ziem Wschodnich,
Oddział Polskiego Związku Łowieckiego w Poznaniu
Wielkopolski Związek Myśliwych.

Wydział Wykonawczy przedstawił Zarządowi wzór odznaki członkowskiej, projektowany przez P. Ostoję-Chrostowskiego oraz szereg projektów, pochodzących z innych źródeł.

P. Hr. Potocki zademonstrował projekt stroju łowieckiego dla członków Związku.

Po dłuższej dyskusji, na wniosek P. Prezesa Generała Sosnkowskiego, Zarząd Związku ustalił zasadę znaczka członkowskiego według projektu P. Chrostowskiego: monogram w okolu z gałązek świerczyny, wykonany w dwukolorowym metalu (złotym i srebrnym), z zastrzeżeniem zmiany co do ozdoby, przedstawionej w projekcie w kształcie korony. Ostateczne ustalenie wzoru znaczka Zarząd powierzył P. Hr. Potockiemu w porozumieniu z Prezydjum Zarządu, w terminie miesięcznym.

Zarząd przyjął następnie projekt stroju łowieckiego dla członków Związku, powierzając P. Hr. Potockiemu przedłożenie Prezydjum Zarządu modeli: okrycia zwierzchniego (płaszcza i peleryny), nakrycia głowy (kapelusza, czapki) letniego i zimowego, zwracając przytem uwagę na konieczność ścisłego określenia fasonu kapelusza letniego oraz fasonu i materjału (futra), z jakiego zrobiona być ma czapka zimowa.

Uchwalono wreszcie zasadę, że Łowczowie i Podłowczowie posiadać będą na stroju łowieckim dystynkcje, których ustalenie pozostawiono Prezydjum Związku.

Prezydjum Zarządu pozostawiono również kwestję ustalenia formy pozdrowienia myśliwskiego w słowie i w geście.

Po ustaleniu wszystkich tych wzorów i form po zatwierdzeniu ich zgodnie z obowiązującemi rozporządzeniami, w „Łowcu Polskim" zamieszczone będą szczegółowe przepisy w tym zakresie.

Przystąpiono do rozpatrzenia sprawy Międzynarodowej Wystawy Łowieckiej w Berlinie.

Sprawę tę referował P. Prof. Gieysztor.

W dniu 7. października r. ub. Polski Związek Łowiecki otrzymał pismo Ministerstwa Spraw Zagranicznych, zawiadamiające o nadesłaniu przez rząd Rzeszy Niemieckiej zaproszenia do wzięcia udziału w Międzynarodowej Wystawie Łowieckiej, organizowanej w jesieni r. b. w Berlinie, i zapytujące, czy Związek zechciałby podjąć się zorganizowania działu polskiego. Pismem z dnia 20. października r. ub. Wydział Wykonawczy wypowiedział się w zasadzie za wzięciem udziału Polski w wymienionej Wystawie, wyraził gotowość zorganizowania działu polskiego i zaproponował wysłanie do Brunszwiku, gdzie z okazji obchodu Św. Huberta, omawiane być miały sprawy organizacji Wystawy, specjalnej delegacji celem bliższego omówienia szczegółów. Po powrocie z Brunszwiku, delegacja w osobach P. P.: M. Hr. Potockiego, Inż. H. Knothego i Dyr. A. Śliwińskiego — złożyła Ministerstwu Spraw Zagranicznych, za pośrednictwem Wydziału Wykonawczego, sprawozdanie, przesyłając w dniu 10. grudnia r. ub. przybliżony kosztorys zorganizowania działu polskiego w kwocie zł. 54.000.—.

Odpowiedź na to pismo Związek otrzymał dopiero w dniu 8. marca r. b. w postaci listu P. Min. Rogera Hr. Raczyńskiego, który powołany został przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych na Przewodniczącego Komitetu Organizacyjnego Działu Polskiego Międzynarodowej Wystawy Łowieckiej w Berlinie. P. Min. Raczyński, zawiadamiając Związek o swoim mandacie i o powołaniu przez M. S. Z. na Komisarza Rządowego wystawy p. Inż. Knothego, zwrócił się do Związku z prośbą o współpracę i wyznaczenie przedstawicieli Związku i Oddziałów — do Komitetu Organizacyjnego.

P. Prezes Generał Sosnkowski zakomunikował Zarządowi, że na prośbę P. Ministra Spraw Zagranicznych przyjął protektorat nad Działem Polskim Międzynarodowej Wystawy Łowieckiej i przyrzekł udział Związku w organizowaniu Wystawy.

Po dyskusji, w której głos zabierali P. P.: Hr. Potocki,

Inż. Skulski, Inż. Knothe, Inż. Śliwiński, Gędziorowski, Gen. Fabrycy, Red. Garczyński, Szamb. Komierowski, Lisowski, Chłapowski i Prof. Gieysztor, Zarząd uchwalił zgłosić ze strony Związku współpracę i jak najdalej idącą pomoc w organizacji Działu Polskiego Międzynarodowej Wystawy Łowieckiej w Berlinie.

Do współpracy z Komitetem Organizacyjnym Działu Polskiego desygnowani zostali P. P.:

z Zarządu Związku — Wiceprezes Gen. Dyw. Kazimierz Fabrycy, Jerzy Dylewski, Bohdan Gędziorowski, Czesław Lisowski i Andrzej Śliwiński,

z Oddziału w Poznaniu — Ppłk. Konstanty Chłapowski, Inż. Leon Martyniec i Kazimierz Hoszowski,

z Oddziału w Toruniu — Dr. Leon Ossowski,

z Oddziału w Łucku — Roman Hr. Potocki.

Nazwiska przedstawicieli pozostałych Oddziałów Związku zgłoszone zostaną przez te Oddziały w najbliższym czasie.

P. Prof. Gieysztor zakomunikował, że w związku z Międzynarodową Wystawą Łowiecką zaprojektowana została we wspólnem porozumieniu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych oraz Wydziału Wykonawczego Związku wystawa obrazów i rzeźb pod nazwą „Łowiectwo w sztuce“, mająca odbyć się w Warszawie, w okresie letnim r. b. Według projektu inicjatorów, najciekawsze eksponaty z wystawy warszawskiej mają być przewiezione do Berlina, jako okazy działu artystycznego, jak też dla dekoracji pawilonu polskiego.

Sprawę finansową uregulowano w ten sposób, że Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych bierze na siebie sprowadzenie eksponatów, urządzenie wystawy, druk plakatów i katalogu, zaś redakcja „Łowca Polskiego“ bierze na swój koszt przygotowanie klisz drukarskich do zilustrowania katalogu, które następnie zużytkowane zostaną w „Łowcu Polskim“.

Ponieważ obok wystawy retrospektywnej, duży dział stanowić będą obrazy i rzeźby współczesne i działowi temu, w celu zachęcenia młodych plastyków, nadany być musi charakter wystawy konkursowej z nagrodami pieniężnemi, przeto Komitet postanowił zwrócić się z prośbą o przyznanie nagród do Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych, do Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, do Zarządu M. St. Warszawy, do Polskiego Związku Łowieckiego ,do większych Stowarzyszeń Łowieckich, wreszcie do przedsiębiorstw, wytwarzających artykuły łowieckie.

Referując tę sprawę, P. Prof. Gieysztor podkreślił, iż wobec udziału Polskiego Związku Łowieckiego w organizacji wystawy „Łowiectwo w sztuce“, przyjętego w przeświadczeniu pożytku i potrzeby tego posunięcia kulturalnego, oraz wobec zwolnienia Związku od jakichkolwiek kosztów w realizacji planu wystawy, wyznaczenie pewnej ilości nagród wydaje się rzeczą konieczną.

Na wniosek P. Prezesa Generała Sosnkowskiego, Zarząd Związku aprobował poczynione przez Wydział Wykonawczy kroki w sprawie organizacji wystawy „Łowiectwo w sztuce“.

Na propozycję P. Hr. Potockiego, członkowie Zarządu złożyli doraźne ofiary na fundusz nagród, w sumie łącznej zł. 430.—.

Z kasy Związku postanowiono wyasygnować na ten cel, różnicę, brakującą do kwoty zł. 450.—.

Nadto Zarząd Związku przyjął zadeklarowaną przez P. Inż. Pierożyńskiego nagrodę dla wyróżnienia malarza w postaci bezpłatnego pobytu i utrzymania w okresie miesięcznym w lasach starachowickich. P. Inż. Pierożyńskiemu wyrażono serdeczne podziękowanie.

Uproszono P. Pawlikowskiego o porozumienie się z P. Benedyktem Hr. Tyszkiewiczem, który ofiarował kwotę zł. 300.— na ogłoszenie konkursu na odznakę członkowską, — czy wobec ustalenia już wzoru tej odznaki nie zechciałby swej ofiary przeznaczyć na nagrody dla malarzy, wyróżnionych na wystawie „Łowiectwo w sztuce“.

Sprawozdanie finansowe za rok 1936 referował Skarbnik Związku P. Kamieński.

Bilans na dzień 31. grudnia r. 1936 zamyka się sumą zł. 31.154.88.

Bilans przyjęto i postanowiono przedstawić Komisji Rewizyjnej, a następnie zamieścić w broszurze sprawozdawczej wraz z odpowiedniem wyjaśnieniem sprawy rachunków strzelnicy.

Zreferowany przez P. Kamieńskiego projekt preliminarza budżetowego na rok 1937, uchwalony przez Wydział Wykonawczy, przewidywał ogólny niedobór w sumie zł. 9.045.—.

Zarząd Związku postanowił wprowadzić w projekcie preliminarza budżetowego na rok 1937 zmiany następujące:

1. zmniejszyć pozycję wydatków różnych o zł. 1.000.—;
2. wprowadzić po stronie wpływów pozycję „dochód z odznaki członkowskiej“ — w kwocie zł. 4.000.—, ustalając, że zysk ze sprzedaży wynosić będzie zł. 3 od sztuki;
3. podnieść preliminowany wpływ ze składek członkowskich do sumy zł. 13.000.—;
4. przewidzieć dochód z wydawnictwa „Łowiec Polski“ w kwocie zł. 1.000.—.

W ten sposób ogólny preliminarz budżetowy na rok 1937 ustalono w postaci zrównoważonej.

W odpowiedzi na memorjał Związku w sprawie wprowadzenia przez Dyrekcją Naczelną Lasów Państwowych nowego wzoru łowieckich umów dzierżawnych, P. Dyr. Loret, po osobistem porozumieniu z P. Prezesem Generałem Sosnkowskim, wyraził zgodę na omówienie treści memorjału tego z przedstawicielami Związku na wspólnej konferencji w Dyrekcji Naczelnej Lasów Państwowych.

Do udziału w konferencji tej Zarząd delegował P. P.: Red. Garczyńskiego, Prof. Gieysztora, J. Skrzypka i Dr. Tallen-Wilczewskiego.

SPRAWY TOWARZYSTWA

Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. w dniu 29. kwietnia 1937.

Przewodniczył Prezes Juliusz hr. Bielski, obecni wiceprezes A. Mniszek, członkowie Wydziału: St. Jaśkiewicz, gen. W. Maryański, Dr. K. Obmiński, Dr. Fr. Piechowski, St. Pieńczykowski, Dr. E. Skowroński, Dr. A. Sołowij, inż. T. Sroczyński. Zastępcy: Mgr. St. Longchamps, inż. Z. Sander i A. hr. Zaleski, tudzież zaproszony Dr. A. Sander.

Nieobecność usprawiedliwili: Dr. St. Gajewski, A. ks. Lubomirski, W. Puchalski i Dr. W. Ziembicki.

Przy sprawozdaniu kasowym omówiono pismo P. Z. Ł. z upomnieniem o wkładki zaległe za lata dawniejsze. Zlecono inż. Z. Sanderowi, aby przy bytności w Warszawie, tę sprawę w Związku wyjaśnił.

W poczet członków M. T. Ł. i P. Z. Ł. zostali przyjęci: Agopsowicz Kajetan, Apolinary Baczyński, Eustachy Barański, Tadeusz Barański, Stefan Biliński, Otton br. Brückmann, ppułk. Tadeusz Czechowicz, Władysław Dobrzański, Bronisław Duńczewski, Juliusz hr. Dzieduszycki, Jan Hulimka, inż. Wiesław Jarzembski, Ignacy Karst, Bolesław Konarski, Wojciech Kostołowski, Stanisław Kozłowski, inż. Henryk Skarbek Kruszewski, Roman Kruszewski, Aleksander Krzyżanowski, Dr. Alfred Kuczera, Dr. Jan de Lapierre, Wilhelm Lorenc, Ks. Roman Ładyżyński, Janina Madeyska, Paweł Mencel, Mgr. Tadeusz Roman Mitro, Jadwiga Mogilnicka, Jerzy Myszkowski, inż. Jerzy Napadiewicz, Marian Osmólski, Władysław Ostrowski, Bolesław Ożga, Kazimierz Ożga, Dr. Stanisław Piątkiewicz, Maria hr. Zyberg-Platerowa, Paweł Poppe, Lucjan Borck-Prek, Stefan Borck-Prek, Jan Potworowski, Tadeusz Romanowski, Gustaw Rupp, Paweł hr. Santi, inż. Jakub Schneider, inż. Adam Smoragiewicz, ppułk. Edward Strawiński, Edward Szerękowski, Wiktor Then, Władysław Jan Wehrstein, inż. Herman Weinert, Dr. Gustaw Weinert, Dr. Leon Weinert, inż. Kazimierz Wilimowski, inż. Włodzimierz Woj-

ciechowski, Władysław Załuski, Józef Zerygiewicz i Wincenty Żurowski.

Mianowano:

w powiecie sokalskim dodatkowo podłowczymi: Eugeniusza Kowalskiego w Sokalu, Mieczysława Kruszewskiego w Łubowie i Eustachego Ścibor-Rylskiego w Uhrynowie,

w powiecie brodzkim łowczym Stanisława Cieńskiego w Pieniakach, podłowczymi Romana Blaichera i Juliusza Bętkowskiego w Brodach,

w powiecie leskim dodatkowo podłowczym Lucjana Borek-Preka w Kalnicy,

w powiecie łańcuckim dodatkowo podłowczymi Dr. Mariana Nowińskiego w Tryńczy, Edwarda Stanślickiego i Romana Zielińskiego w Łańcucie,

w powiecie brzozowskim podłowczymi inż. Bronisława Konarskiego w Brzozowie, inż. Adama Smorągiewicza w Grabownicy i Wiktora Thena w Końskiem,

w powiecie kopyczynieckim podłowczym Tadeusza Mitro w Kopyczyńcach,

w powiecie złoczowskim dodatkowo podłowczymi inż. Stanisława Markowskiego w Kołtowie, inż. Adama Ożgę w Lackiem i majora art. W. P. Tadeusza Słoniewskiego w Złoczowie,

w powiecie turczańskim inż. Kazimierza Wilimowskiego w Majdanie, podłowczymi ks. Romana Ładyżyńskiego w Krywce, inż. Jakuba Schneidra w Boryni i inż. Henryka Rubinsteina w Beniowej,

w powiecie lwowskim dodatkowo podłowczym Bronisława Duńczewskiego w Pikułowicach,

w powiecie kołomyjskim łowczym Józefa br. Horocha w Gwoździcu, podłowczymi Kajetana Agopsowicza w Trofannówce, Erwina Bohosiewicza w Podhajczykach i ppułk. Tadeusza Czechowicza w Kołomyi,

w powiecie stanisławowskim dodatkowo podłowczymi Pawła Mencla w Medyni, Jerzego Napadiewicza w Posieczy i Edwarda Strawińskiego w Wodnikach,

w powiecie tłumackim łowczym Andrzeja Jakubowicza w Bortnikach, w miejsce Romana hr. Bielskiego, który z godności tej zrezygnował, zatrzymując godność jednego z podłowczych tego powiatu.

Przyjęto też rezygnację Tomasza Kosińskiego w powiecie sokalskim i Jana Łukasiewicza w powiecie zaleszczyckim z godności podłowczych.

Omówiono sprawy związane z dorocznym zjazdem łowieckim. Podniesiono przy tym, że zmiana statutu M. T. Ł. i przystosowanie go do statutu Związku nastręcza wprawdzie Komisji pewne trudności, że jednak praca będzie na czas ukończona, a nowy statut będzie mógł być Walnemu zgromadzeniu przedłożony.

Inż. T. Sroczyński zreferował sprawę Wszechświatowej wystawy Łowieckiej w Berlinie, względnie udziału w niej myślistwa polskiego i stwierdził, że praca około godnej reprezentacji naszego łowiectwa na tej wystawie, postępuje raźnie tak w Warszawie, dokąd w tej sprawie był jeździł, jak i na terenie Małopolski. Do Komitetu dla tej sprawy na poprzednim posiedzeniu wybranego, zgłosili swój akces i zostali dokooptowani wiceprezes A. Mniszek i Stanisław Wiktor Orski.

Zaproszenia na Walne Zgromadzenia Powiatowe

Powiat Dolina — Województwo Stanisławów.

Walne Zgromadzenie Powiatowe członków Polskiego Związku Łowieckiego, odbędzie się dnia 19. czerwca 1937 r. w sali Wydziału Powiatowego w Dolinie o godzinie 12-tej.

Porządek dzienny:

1) Zagajenie.
2) Wybór członków Powiatowej Rady Łowieckiej.
3) Wybór delegata na Walne Zgromadzenie M. T. Ł., jako oddziału P. Z. Ł.
4) Wnioski w sprawie gosp. łowieckiej w powiecie.

Inż. Artur Groetschel
Łowczy Powiatowy

Łowczy powiatu gródeckiego zaprasza przedstawicieli Towarzystw myśliwskich do Związku należących i na obszarze powiatu tereny posiadających, tudzież myśliwych posiadających te tereny łowieckie lub w powiecie zamieszkałych, na Walne zgromadzenie powiatowe w dniu 17. czerwca 1937 r. o godzinie 12-tej w sali Rady powiatowej.

Porządek dzienny:

1) Wybór członków Powiatowej Rady Łowieckiej i jej ukonstytuowanie się,
2) Wybór delegata na Walne Zgromadzenie M. T. Ł., jako Oddziału Związku,
3) Wolne wnioski.

Stanisław hr. Tyszkiewicz
Łowczy

Po myśli § 50. statutu Polskiego Związku Łowieckiego, zwołuję zgromadzenie Powiatowej Rady Łowieckiej powiatu mościckiego, na dzień 17. czerwca 1937, o godzinie 11-tej przed południem do sali „Sokoła“ w Mościskach.

Porządek dzienny:

1) Zagajenie i wybór sekretarza;
2) Wybór członków Powiatowej Rady Łowieckiej;
3) Wybór delegatów na Walne Zgromadzenie Oddziału;
4) Sprawozdanie łowieckie roczne;
5) Aktualne sprawy łowieckie;
6) Wnioski i interpelacje.

Aleksander Ulm
Łowczy powiatowy

Łowczy powiatu brzeżańskiego donosi nam, że zwołuje na dzień 3. czerwca 1937 r. do sali posiedzeń Wydziału powiatowego w Brzeżanach Walne Zgromadzenie, celem wyboru Powiatowej Rady Łowieckiej.

Sprawozdania Łowczych z ukonstytuowania się Powiatowych Rad Łowieckich.

Powiatowa Rada Łowiecka dla powiatu złoczowskiego, dla której mianowani zostali w swoim czasie łowczym P. Gen. Walery Maryański, a podłowczymi P. P.: Mgr. Roman Hupałowski i prof. Kazimierz Leszczycki, a następnie dodatkowo inż. Stanisław Markowski, inż. Roman Ścibor Rylski, inż. Adam Ożga i major art. W. P. Tadeusz Słonieski, ukonstytuowała się w dniu 22. kwietnia 1937 r., przez wybór do niej P. P.: Dr. Pawła Garapicha, Dr. Mirona Leszczyńskiego, Kazimierza Ożgi, Józefa Obertyńskiego i majora w st. sp. Karola Soroczaka.

*

Powiatowa Rada Łowiecka dla powiatu sokalskiego, dla której mianowani zostali w swoim czasie, łowczym P. Jan Madeyski, a podłowczymi P. P.: Stanisław Biliński, Tadeusz Głogowski, Mieczysław Kruszewski, Eustachy Rylski i dodatkowo Eugeniusz Kowalski w Sokalu, ukonstytuowała się w dniu 20. kwietnia 1937 r., przez wybór do niej jeszcze P. P.: Jana hr. Plater-Zyberga i Dr. Stefana Maciejowicza.

Delegatem na Walne zgromadzenie Oddziałowe, wybrano Jana hr. Plater-Zyberga.

*

Powiatowa Rada Łowiecka dla m. Lwowa i powiatu lwowskiego, dla której mianowani zostali w swoim czasie łowczym P. Leon Krzeczunowicz z Jaryczowa Nowego, a podłowczymi P. P.: Bronisław Duńczewski w Pikułowicach, Dr. Stefan Iszkowski w Rokitnie, Stanisław Jaśkiewicz we Lwowie, Dr. Ksawery Obmiński we Lwowie i Jerzy Stojowski w Laszkach, ukonstytuowała się w dniu 16. maja 1937 r., przez wybór do niej Panów: Jana Madeyskiego w Leśniowicach, Dr. Bolesława Kwaśniewskiego, Mgr. Stanisława Longchampsa, Rudolfa Wacka i Tomasza Zana we Lwowie.

Delegatami na Walne Zgromadzenie Oddziałowej Rady Łowieckiej wybrano P. P.: Leona Krzeczunowicza i Tomasza Zana.

*

Powiatowa Rada Łowiecka dla powiatu leskiego, gdzie mianowani zostali w swoim czasie łowczym P. August hr. Krasicki w Lesku, a podłowczymi P. P.: inż. Hirsch Filip w Strwiążyku, Łucjan Borek-Prek w Kalnicy i Stefan Rylski w Olszanicy, ukonstytuowała się w dniu 20. kwietnia 1937 r., przez wybór do niej P. inż. Bogdana Juścińskiego.

Delegatami na Walne Zgromadzenie Oddziałowe wybrano P. P.: Augusta hr. Krasickiego, Łucjana Preka i Stefana Rylskiego.

Dnia 20. maja br. odbyło się w Sanoku Walne Zgromadzenie Powiatowe Polskiego Związku Łowieckiego, na zaproszenie Łowczego Powiatowego. Dotychczas w powiecie sanockim zapisało się na członków zwyczajnych 16 osób, na członków nadzwyczajnych 27 osób, kilka osób zaprenumerowało „Łowca“. Powiatową Radę Łowiecką, dla której w swoim czasie mianowany został łowczym Paweł Wiktor, a podłowczymi: Dr. Stanisław Domański, Stanisław hr. Potocki, Jerzy Myczkowski, uzupełniono przez wybór do niej inż. Adama Morawskiego, Dr. Teofila Dutkowskiego, kpt. Edwarda Kantora i Jana Wasyłeńki. Delegatem na Walne Zgromadzenie Wojewódzkie, wybrano mjr. Kazimierza Tumidajskiego

Żywe zainteresowanie sprawami łowieckimi oraz dobór osób w Radzie łowieckiej, dają rękojmę, że praca dla dobra łowiectwa w naszym powiecie, będzie prowadzona energicznie i celowo. Muszę tu z przyjemnością zaznaczyć, że Władze administracyjne zajęły wobec Związku bardzo życzliwe stanowisko.

Paweł Wiktor
Łowczy powiatowy

Kronika

Po ciężkiej walce.

Tłumaczone z „Deutsche Jagd“

Z końcem grudnia 1935 znaleziono padłego wychudzonego odyńca, wagi 125 kg. po wypatroszeniu. Z początku sądzono, że odyniec padł skutkiem postrzału na ostatnim polowaniu, jednak po dokładnym badaniu nie znaleziono żadnej rany postrzałowej. Przy sekcji zauważono silne bo prawie pięciokrotne powiększenie śledziony. Wynikało by z tego, że dzik padł skutkiem schorzenia tego organu, okazało się jednak przy obielaniu łba, że na górnej części czaszki, znajduje się głęboki otwór, w którym tkwił silnie zaklinowany, odłamek szabli dziczej długości około 1 cm. Nie ulegało więc wątpliwości, że odyniec jest ofiarą walki o prawo silniejszego. Jakiej to siły potrzeba by przebić nadzwyczaj twardą kość czaszki dziczej. Szabla przeciwnika zaklinowała się silnie w kości do tego stopnia, że napastnik musiał ją wyłamać by się od swej ofiary uwolnić.

Przypadkowo był przy badaniu lekarz myśliwy, któren wywnioskował, że po zadanym ciosie, odyniec leżał najmniej 24 godzin bez przytomności, potem podniósł się i dopiero po 10 do 12 dniach nastąpiło ropienie, które spowodowało zapalenie opon mózgowych i mózgu, oraz zakarzenie krwi. To było powodem śmierci odyńca. Zewnętrznie nie było śmiertelne obrażenie widoczne, gdyż skóra się gładko zrosła. Powiększenie śledziony nastąpiło skutkiem zakarzenia krwi.

Zdarza się często że w czasie huczki, podczas walki, odyniec zada swemu przeciwnikowi śmiertelny cios, najczęściej w wątrobę. Również śmiertelne bywa uderzenie z boku pod łopatkę, którą odyniec prawie rywalowi oderwać potrafi, podany jednak wyżej wypadek, należy chyba do wyjątków.

OD REDAKCJI.

Panu J. J. B. W sprawie poruszonej w Jego liście, pragniemy porozumieć się osobiście.

TREŚĆ NUMERU 6:

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.
Drukarnia EDWARDA ZIMNEGO, Lwów, ul. Szajnochy 2., tel. 221-35.